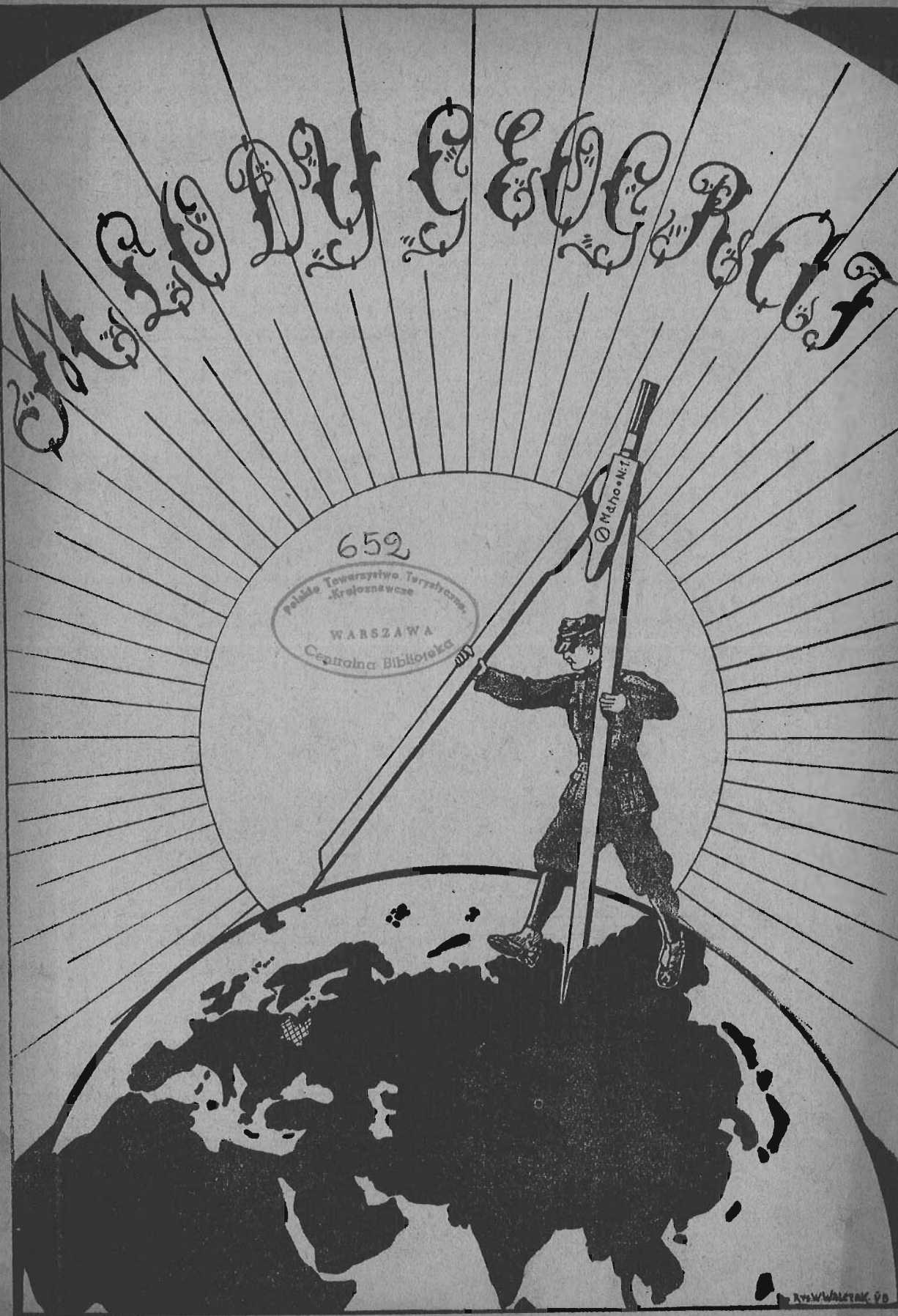




652

Polskie Towarzystwo Turystyczne
i Krajoznawcze
WARSZAWA
Centralna Biblioteka

Włcho N:1

**BIURO POŚREDNICTWA w KUPNIE i SPRZEDAŻY
NIERUCHOMOŚCI i RUCHOMOŚCI — WYNAJEM LOKALI**

ORAZ

**FILJA MIĘDZYNARODOWEGO BIURA
MATRYMONJALNEGO „ECHO”**

LAZAROWICZA EUGENJUSZA

w JAŚLE, ul. Bron. Pierackiego 16.

POLECA:

Kamienice, domy, dwory, fabryki, młyny, parcele i tp.

PRZYJMUJE DO KOMISOWEJ SPRZEDAŻY:

Meble, maszyny do szycia i pisania, radio,
gramofony, instrumenty muzyczne i t. p.



652

MŁODY GEOGRAF

DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO IM. PROF.
LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Zeszyt 14.

Listopad — Grudzień 1934.

T R E Ś Ć :

	Str.
Hellada dzisiaj	3
Ropa naftowa w Polsce	6
Wymieranie ludzi na wyspie Tanu	7
Kościół parafjalny w Jaśle	9
Twierdza	11
Sprawozdanie z wycieczek — W Tatry	12
Do puszczy św. Jana z Dukli	14

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.

REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.

Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

Hellada dzisiaj.

Z notatek robionych w czasie
podróży po Grecji w lecie 1934 r.

Port Pireus napchany okrętami posiada ruch o wiele większy niż Stambuł. Setki masztów i kominów okrętowych sterczy wśród ogromnych magazynów i kipiącego tłumu ludzi. Stosy owoców, warzyw, mięsa, chleba, a obok butle z winem i oliwą ciągną się na placach i ulicach napełnionych ciżbą ludzką, wrzawą i hałasem nieustannym.

Ateny dzisiaj mają milion mieszkańców. Rozległe place i parki, szerokie aleje i bulwary, liczne skwery i kwietniki, wszystkie ulice asfaltowe i o gładkich chodnikach. Ruch tramwajowy i autobusowy olbrzymi. Wzdłuż głównych ulic wznoszą się obok siebie wspaniałe hotele, eleganckie sklepy i magazyny, liczne kawiarnie i restauracje nabite gośćmi zwłaszcza wieczorami. Różnobarwne reklamy błyszczą na niebie, oraz reflektorami oświetlone wodotryski i pomniki. Imponujące gmachy publiczne błyszczą marmurami śnieżysto-białe w cieniu palm i platanów.

Gęsto rozstawione kioski z gazetami i napojami chłodzącymi, otoczone wrzawą. Tu i tam szczątki dawnych Aten; w cieniu złocistych kolumn świątyni Zeusa Olimpijskiego na turystów napadają kwiecisto ubrane cyganki, kalecząc niemiłosiernie różnymi językami. U stóp Akropolisu każdego przybysza otacza rój sprzedawców pocztówek i albumów. Pod teatrem Djonizosa i u wejścia do Stadjonu długie rzędy figurek i wazoników imitujących starogreckie, a zwiedzającego nagabują setki głosów z prośbą o kupno.

Jezdnie do Faleronu i łazienek morskich ze sznurami tramwajów i autokarów, którymi ludność i liczni goście zagraniczni spieszą na plażę, zmęczeni upałem i chodzeniem. W falach zatoki Saronńskiej nikt nie zaznaje ochłody, trzeba koniecznie wlewać w siebie litrami różne soki i napoje z lodu. Muzyka gra po modnych hotelach, pensjonatach, restauracjach. Kelnerzy we frakach usługują publiczności. Poza filarami nowożytnych gmachów wzrok napotyka na nędznie odziane postacie biedaków o smutno patrzących dużych, czarnych oczach. Z łodzi rybackiej dopiero przybyłej z połowu wychodzą rybacy i sprzedają gościom w restauracji ostrygi, zaraz zjadane ze sokiem cytrynowym.

Droga Święta wiodąca z Aten do Eleusis to dziś asfalt pełen autobusów pędzących przez cały dzień tam i z powrotem. Wśród gajów oliwnych i pinjowych wznoszą się klasztory średniowieczne w Dafni i gdzieindziej, a piękne ich mozaiki ściągają całe wycieczki. Na nagiej ziemi bez spalonej kompletnie słońcem trawy w cieniu limb i karłowatych cyprysów leżą pokotem całe rodziny i śpią, a obok nich leżą opróżnione z jedzenia koszyki i butelki.

Przewodnik oprowadzający po ruinach starożytnego Eleusis mówi po niemiecku, a gospodarz kawiarni po angielsku. Szczątki kolumn i murów znajdują się na miejscu potężnej niegdyś świątyni Demetry, gdzie odbywały się przy świetle księżyca i pochodni tajemnicze obrzędy. Obok widnieje czeluść skalna, gdzie miał porwać do podziemia Pluto urodziwą Persefonę.

W dali widnieją czerwone skały Salaminy. Tu rozegrała się walna bitwa z Persami, których bogate okręty poszły na dno wąskiej cieśniny. Dzisiaj w przystani stoją liczne żaglowce i stateczki rybackie otoczone rojem nagich dzieciaków bawiących się w jaskrawem świetle słonecznym.

Ruchliwa flota grecka rozsypana jest pomiędzy Cykladami a Sporadami. Okręty nieduże, długie, bardzo żwawe.

Sześć godzin jazdy z Pireusu do Syry na statku „Mykale“ to nieprzebrana noc wśród wrzawy i krzyków licznych pasażerów. Hermupolis na Syrze, miasteczko o 25.000 mieszkańców, najważniejszy port na Cykladach, skąd wywozi się wino, oliwę i owoce, a przede wszystkim lukumię, sławne słodczyce greckie z miodu i migdałów. Z balkonu hotelowego podziwiać można cudowny i nigdzie dotąd niespotykany widok na miasto i port, na morze i góry dokoła. Nowy znajomy Grek mówiący po angielsku służy licznymi informacjami. Stara Syra wznosi się coraz to wyżej na skale, zachowana doskonale do dzisiaj jeszcze z czasów weneckich, kolonizowana przez Wenecjan w XIII wieku 585 schodów wiedzie na szczyt skały, gdzie sterczy potężny bastion obronnego klasztoru. Po obu stronach schodów domy wykute poczęści wprost w skale wspinają się jedne nad drugimi coraz wyżej i wyżej o dachach płaskich, a wszystkie białe jak śnieg. Ludzie starsi a także małe dzieci witają nas po francusku. Poza klasztorem na skałach baszty obronne, cmentarzyk i ścieżka wijąca się razem z drzewami figowymi hen na przełęcz pomiędzy dwie czarne góry. Na dnie przepaści domki i kościół — dzwonią dzwonki zawieszone na sztychach osiołków, nawołują się pasterze licznych trzód owiec na stromych zboczach czarnych gór.

Wieczory spędzone na Syrze można zaliczyć do bajecznych zjawisk. Jeszcze krwawa łuna zachodu na niebie, a tu już tysiączne światła błyszczą na portowym bulwarze. Z okrętów jasno oświetlonych schodzą do restauracji na wybrzeżu pasażerowie, korzystając z przerwy w podróży. Liczne orkiestry grają. Zgiełk przy stolikach nieopisany. Tłumy przechadzają się. A o godz. 11 w nocy rozpoczyna się przedstawienie w pobliskim teatrze Apollina. Śpiewaczka przerywa grę i wypija szklankę lemoniady. Orkiestra rozmawia w czasie antraktu z publicznością. Sprzedają papierosy i wino na widowni. Po przed-

stawieniu o godzinie 2 w nocy przed teatrem otacza wychodzących tłum dzieciaków z ciastkami i orzechami.

Jazda okrętem „Zakynthos“ na Santorin. Służba hotelowa i kelnerzy podają nam ręce na pożegnanie. Jest godzina trzecia nad ranem. Życzą nam mnóstwo dobrych rzeczy. Na bulwarze ludzie popijają kawę lub wino, głośno rozmawiają i płaczą, żegnając swoich bliskich. Sklepy i kawiarnie pootwierane i pełne ruchu. Sprzedawcy owoców i lukumji kręcą się po pokładzie.

Porty na Paros, Noxos, os, Thenos to miejscowości ruchliwe, wrzaskliwe, hałaśliwe. Setki łodzi jaskrawo pomalowanych i wykładanych dywanikami na ławkach o ostrych dziobach z wyrzeźbionymi smokami otaczają przybyły okręt. Przekupnie zwinnie przebiegają wśród publiczności, dźwigając kosze ryb świeżych lub suszonych, owoców, ciastek, orzechów i innych przysmaków.

Santorin to dawna Thera. Wyspa wulkaniczna w kształcie różka, rozbita na kilka części. Okręt staje zdala od przystani pod przepaścistą czarną skałą. Przybyłe łodzie chwytają walizki i pasażerów, którzy nawet nie wiedzą, jak prędko dostają się na ląd. Po schodach wysoko na skałę jedzie się na osiołku do miasta. 205 metrów w górę. W skale wykute schody biegną zygzakiem ponad przepaścią. Poganiacze krzyczą, popychając ostro zakończonym kijem udo zwierzęcia strzygącego długimi uszami. Na szczycie skały ponad przepaścią zawisło białe miasto — Phira. Dom nad domem o białych ścianach wmurowanych na sobie wśród czarnych, wulkanicznych skał. Każdy dach jest przymurówką dla wyżej położonego domu. Ulice to schody wąskie i ciasne, po których wspinają się osły i muły obciążone towarami.

Z góry Santorin widok niezrównany na wysepki wulkaniczne rozrzucone na środku ogromnego krateru wypełnionego morzem. Wzrok ginie na horyzoncie w kurzawie blasku słonecznego.

Wycieczka na osłach do ruin starożytnej Thery. Klasztor św. Eliasza na skale po drodze. Braciszkwowie sami zamiatają i podlewają rośliny. Widok z murów na miasteczka i wioski aż po morze. Nizina aluwialna pokryta polami, bardzo urodzajna. W dali we mgle sterczą wyniosłe góry skaliste — to Kreta o 120 km odległa. Obiad we wiosce Kamari u stóp skał. Poganiacz osłów podaje nam aligarję — orzeźwiający kwiat o ostrym zapachu zioła. Rodzina rybaka zajada obiad w grocie skalnej, ukrywszy się przed żarem słońca. Ułowił on rybę, którą teraz trzyma na sznurze we wodzie. Gramofon gra — a tam bieleją ruiny starej helleńskiej świątyni. Rybak wysła do nas dziecko z winogronami w darze. Przewodnik podaje figi zerwane przed chwilą w drodze.

Nocą księżyc błyszczący zielonkawym światłem. Siedząc na dachu hotelu patrzymy na wulkan i morze. Blask księżyca kąpie się we falach zatoki. Oświetlony drobnymi żarówkami okręt w przystani wygląda stąd jak maleńka zabawka. Na niebie widać miljarady gwiazd. Byliśmy właśnie na zabawie we wsi. Oryginalna muzyka z fletów i tańce klasyczne, a przytem niezwykła gościnność i życzliwość względem obcego. Przechodząc obok wiatraku poruszającego wolno ogromnymi skrzydłami, wступujemy do środka i tu gospodarz

pokazuje całe wewnętrzne urządzenie i częstuje winem gęstem i ciemnem jak smoła, a słodkiem jak miód.

Jazda łodzią do wulkanu to prawdziwa igraszka z falami. Dwie godziny mijają i docieramy do skał bazaltowych i tufów. Woda jak mleko biała i zupełnie gorąca. Biją tu jakieś źródła i rozpuszczają się jakieś minerały. Wijącą się ścieżka wśród pustkowi i czarnych głazów docieramy do żółtych od siarki lejków, gdzie ze szczelin wydobywają się dymy i gazy wulkaniczne.

Ludzie mieszkający na skałach i w skałach wydrążyli sobie jaskinie, wylepili gliną i dorobili drzwi. Do tych mieszkań idzie się schodami wykutymi w skale. Tak samo do ich ogródków znajdujących się na zboczach skalnych na dachach ich mieszkań. Kruche łodzie kołyszą się na wzburzonych falach. Ryby idą masami do sieci sprytnie nastawionych.

Widać wyraźnie na wyspie Therasji zygzakowatą drogę wspinającą się z portu do miasteczka.

Statek „Kimon“ czeka na nas o 6 godzinie rano. Wracamy do Pireusu po kilkodniowym pobycie na wyśnionym, bajkowym Santorinie. Żegnają nas ludzie serdecznie i rzewnie — potomkowie dawnych Hellenów... Zwolna zasnuwa się wulkan mgłą i giną czarne skały w jasnej poświacie wschodzącego słońca. Czarowna wyspa znika z horyzontu...

C. d. n.

Józef Staško.

Ropa naftowa w Polsce.

Dokończenie.

Jeżeli rafinerja znajduje się w bliskości szybu, to ropę przeprowadza się rurami. Ropę przewozi się do dalszych rafinerji, w specjalnych wagonach zwanych cysternami. W specjalnych fabrykach zw. rafinerjami oczyszcza się ropę przez destylację. Destylacja odbywa się w kotłach, połączonych przelewami. Coraz dalsze kotły ogrzewa się coraz silniej. Taka destylacja nazywa się ciągłą. W temp. 150° odchodzi „surowa benzyna“, w temp. 150° — 300° „surowa nafta“. Surową benzynę destyluje się w aparatach kolumnowych. Po tej destylacji otrzymuje się: benzynę lekką, benzynę ciężką i ligroinę. Surową naftę oczyszcza się kwasem siarkowym i wymywa wodą. Po oddestylowaniu surowej benzyny i nafty pozostaje „mazut“, z którego otrzymuje się parafinę.

Kopalnictwo naftowe w Polsce ostatnimi laty stale upada. Największą produkcję ropy naftowej miał rok 1909, wydobyto wtedy 2,076.000 ton. Polska miała wtedy 5% ogólnej produkcji światowej. W roku 1913 produkcja spadła do 1,113.000 ton. Po wojnie w roku 1922 jeszcze bardziej spadła. Od roku 1922 — 1927 produkcja się poprawia. Potem znowu spada. W tych latach polska produkcja wynosi 0,34% całej produkcji nafty.

Produkcja od roku 1922.

Rok 1922	713.100 ton.	Rok 1926	796.000 ton.
„ 1923	737.200 „	„ 1927	777.300 „
„ 1924	770.800 „	„ 1928	743.000 „
„ 1925	811.900 „	„ 1929	674.470 „
Rok 1930		662.760 ton.	

Okręg borysławski dostarcza przeszło 80%. Surową ropę przerabia się w 30 rafinerjach naftowych. Rafinerje zatrudniają 3.849 robotników. Rafineryjne przeróbki wywozi się zagranicę. Wydobywa się także gaz ziemny i воск ziemny (ozokeryt), który w innych krajach z wyj. Niemiec jest nieznany. Воск ma wielkie znaczenie dla eksportu polskiego, ponieważ jest tańszy od pszczelnego.

Wzdłuż całego Podkarpacia ciągną się złoża ropy naftowej. Na zachód sięgają do Tymbarku i Limanowej, a na wschód aż do Czeremoszu. Z tego pasa najwięcej obfitują w ropę: kotlina Krośnieńska, Borysław, Drohobycz, Tustanowice i ich okolice. Znane są kopalnie ropy w górnym biegu Strwiążu i w okolicy Stanisławowa szczególnie w Bitkowie. W kotlinie Krośnieńskiej występują w okolicy Gorlic, Jasła, Krosna i Brzozowa. Воск ziemny (ozokeryt) występuje zwykle wraz z ropą naftową. Największe kopalnie wosku ziemnego znajdują się w okolicach Borysławia, Wolanki, Truskawca i t. p. Głównymi ośrodkami przemysłu naftowego są miasta Borysław i Drohobycz.

Borysław leży w powiecie Drohobyckim, 100 km od Lwowa nad rzeką Tyśmienicą. Miasto ma 16.500 mieszkańców (9.618 Polaków i 7.170 Żydów), jest głównym ośrodkiem przemysłu i górnictwa naftowego w Polsce. Posiada 268 otworów wiertniczych. Wydobywa się tu także воск ziemny (ozokeryt) i gaz ziemny. W Borysławiu są również rafinerje nafty i olejów mineralnych, fabryki świec parafinowych i narzędzi wiertniczych. Borysław jest jakgdyby miastem ruchomem, gdyż z posuwaniem się otworów wiertniczych posuwa się całe miasto. Panuje tu ciągły ruch i gwar.

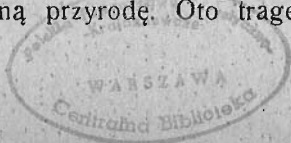
Drohobycz, miasto powiatowe, leży w województwie lwowskim, nad rzeką Tyśmienicą. Ma 26.736 mieszk. Drohobycz jest ważnym ośrodkiem przemysłu naftowego. Znajdują się tu rafinerje olejów mineralnych, odbenzyjniarnia, fabryki świec, smarów, wyrobów metalowych, dachówek, cegielnie garbarnie, młyny, tartaki i wiele innych. Drohobycz zawdzięcza swój rozwój położeniu w zagłębiu naftowym.

Tak przedstawia się historia ropy naftowej i jej ośrodki w Polsce.

Marjan Nayda, Vb.

Wymieranie ludzi na wyspie Tanu.

Dla wyspy Tanu wybiła ostatnia godzina — ludność jej znajduje się obecnie przed wymarciem. W strasznej walce o życie i byt rasa ludzka upada pobita zupełnie przez samą przyrodę. Oto tragedia człowieka, który



zrozumiał, że jego przyszłość jest beznadziejna, że wszelkie plany, aspiracje i dążenia nie mogą się nadal utrzymać w obliczu zupełnej zagłady. I nie pomogą nic nowe dzieci zrodzone w ostatnich latach — naród Tanu musi zginąć, a z nim język jego, nazwa, religia, obyczaje...

Wyspa Tanu leży na oceanie Wielkim, gdzie natura z człowiekiem walczy na każdym kroku. Położona jest pod 157 stopniem długości geograficznej wsch. i pod 4 stopniem 50 minut szerokości geograficznej połudn. Znajduje się o 180 km od najbliższej wyspy Buka, należącej do archipelagu Salomona. Różne wyprawy naukowe z Europy tu przedsięwzięte celem zbadania ciekawego narodu Tanu stwierdzają przerażający jego zanik.

W roku 1884 żyło tylko 64 ludzi na Tanu, w roku 1885 obliczono już tylko 50 osób. Obecnie zostało zaledwie 17 dusz, a mianowicie 6 mężczyzn, 6 kobiet, 5 małych chłopców. Uczony Parkinson na wybrzeżu wyspy widział wryte w piaski łodzie długości 15 metrów i na półtora metra głębokie, których dziś ludzie tamtejsi zepchnąć już nie zdołają na morze. A więc był czas, że było tu więcej ludzi, którzy potrafili zepchnąć łodzie na wodę a nawet mogli budować tak wielkie łodzie dla celów rybackich. Było to w r. 1885.

W 11 lat potem Parkinson znowu odwiedził wyspę Tanu i już wtedy w różnych czasopismach geograficznych ukazały się jego naukowe artykuły o zanikającym ludzie na dalekim oceanie. Dopiero od roku 1909 geografowie angielscy zainteresowali się tym ciekawym problemem. Dzisiaj jeszcze nie można dociec przyczyny wymierania ludności na wyspie Tanu.

Wyspa ta jest tak odosobniona i tak na uboczu, że niema mowy o jakichś zewnętrznych wpływach. Wymierają tam ludzie poprostu dlatego, że nie mają dopływu świeżej krwi. Stracili już energię życiową, cierpią na anemię rasową, są skazani na zagładę.

Tanu jest atolem. Wznosi się tylko kilka metrów ponad poziom morza. W słonych falach morskich zatapiają swoje korzenie smukłe palmy kokosowe. Poza wałem piaszczystym z trudem uprawia się pola ryżowe i kukurudziane. W skale koralowej kopie się dziurki, w które wkłada się zeschnięte liście i skąpe odpadki od bydła i tak od wieków tworzy się ziemię pod uprawę. Na całej wyspie niema ani strumyka, ani źródelka nawet. Wszystko polega na deszczu. Wykopuje się cysterny i zalepia się je z wierzchu gliną i piaskiem koralowym, aby woda nie przeciekła przez porowate skały. W tych cysternach gromadzi się woda deszczowa, która spada z drzew i natychmiast chowa się ją przed wyparowaniem. Woda to słonawa i wstrętna dla języka białego człowieka. Wyspiarze lubią ją, lecz zwykle tak, jak wiele innych ludów Pacyfiku, używają morskiej wody do gotowania i nawet potrafią nią ugasić pragnienie. W swych podróżach używają morskiej wody w ilościach, które mogłyby białego człowieka doprowadzić do szaleństwa z pragnienia.

Jedynym mięsem, jakie jedzą, jest mięso ptaków. Wyspa jest mała, a potrzeby ludności są tak wielkie, że ptaki nie mają tu wcale swych gniazd. Strzela się tylko z łuków do przelatujących lub łapie się odpoczywające chwilowo na wysepce. Główne pożywienie czerpią wyspiarze z morza. Jedzą

wszystko, co żyje w morzu i w ich lagunie: ryby, kraby, trepang, jeżowce skorupiaki, rozgwiazdy i t. d.

Na zakończenie przytoczę tu jedną z pięknych legend wymierającego narodu Tanu:

Na początku świata żył na dnie morza Lolo, budując sobie koralową rafę aż do powierzchni morza. Gdy rafa dosięgła powierzchni, lecz jeszcze nie sterczała nad nią, nadjechała łódka ze Siwą. Zobaczył on głowę Lola sterczącą z piasku i uchwycił ją za włos, który kołysał się nad falami i pociągnął. Lolo zawołał na niego, by ciągnął mocno, a Siwa wydobył go w całości na światło dzienne. Wtedy Lolo prosił Siwę, by sobie odjechał, bo wyspa jeszcze nie gotowa, a on buduje ją tylko dla siebie. Kiedy rafa była już tak wysoka, że fale nie mogły więcej nad nią przelatywać, pokrył ją trawą i roślinami, krzewami i lasem gęstym a silnym.

Gdy już skończył swą robotę, naraz przybyła przez morze łódź wioząca trzech mężczyzn i jedną kobietę. Lolo, który już miał dwóch towarzyszy, Keni i Puapua, nie chciał wpuścić przybyszów na swą wyspę. Lecz obcy prosili i zaklinali, obiecując, że go nauczą wiele nowych rzeczy, które wzbogacą jego i jego wyspę. Wkońcu Lolo zgodził się i pozwolił im wejść. Ludzie w łodzi nazywali się Amelelago, Sapu i Kau, a kobieta Keruahine. Ich miejscem ojczystym była Makarama.

Przybysze spełnili swą obietnicę. Kau nauczył sztuki krzesania ognia z dwóch kijów, rzecz dotychczas nieznaną. Wskazał on też, jak gotować pożywienie na ogniu. Sapu przyniósł kokosy ze swej łodzi i zasadził je na wyspie, przez co stworzył obecne gaje tego drzewa. Amelelago przyniósł rośliny taro i razem z Keruahine zrobił pierwszą plantację taro.

Keruahine wprowadziła tatuowanie. Lolo wyciągnął się na macie a ona tatuowała go na wzór dzisiejszego tatuowania. Było ono wszędzie to samo i jeszcze dziś kobiety to czynią.

Amelelago podobnież pokazał sztukę tkania mat na ubranie mężczyzn i kobiet. Tkanie do dziś dlatego jest czynnością mężczyzn, tylko najwyższy wódz i jego krewni są wolni od wałka tkackiego.

Tyle legenda. Osoby powyższe dziś uważane są za bóstwa, a Polinezyjczycy do nich się modlą. Co się stanie z niemi i z legendami, kiedy na wyspie Tanu nie będzie już ani jednego człowieka?

Kościół parafjalny w Jasle.

Już w roku 1326 Jasło było osobną parafją i miało drewniany kościół. Kiedy później Węgrzy napadli na Polskę, nie pominęli też Jasła, a spaliwszy go, spalili i drewniany parafjalny kościół. Podówczas proboszczem w Jasle był ks. Mikołaj herbu Ciołek Czelanthko, Kanonik przemyski i wraz z bratem swym Stanisławem doktorem dekretatów i scholastykiem sandomierskim,

wybudowali na gruzach drewnianego wyżej wspomnianego kościoła, obecny kościół murowany w roku 1459. Kościół jest długi na 34 m, w tem presbiterjum 14 m długie, a 8 m szerokie. Nawa jest długa na 19 m, szeroka zaś 13 m. Presbiterjum jest zamknięte połową sześcioboku i zasklepione pięknem sklepieniem w stylu gotyckim ze wspornikami żebrowymi, na których widnieje herb fundatora kościoła i zdaje się herby współ-fundatorów. Tuż blisko wielkiego ołtarza, na wiązaniu żebrowym, w zworniku, jest imię Jezus (J. H. S.) Na jednym żebrowym po lewej stronie jest herb Ciołek, zaś na drugim żebrowym po prawej stronie jest w formie herbu data budowy kościoła rok 1459. Na drugim wiązaniu, na żebrowym po lewej stronie jest herb Pilawa, na żebrowym po prawej stronie herb Strzemię, w środku zaś Królewski Orzeł Piastów i znowu na żebrowym po lewej stronie herb Sreniawa, na żebrowym po prawej herb Odyniec. Na trzecim wiązaniu na żebrowym po lewej stronie jest herb Jastrzębiec, na żebrowym prawej herb Jelita. Następnie na środkowym zworniku, oraz na żebrowym po jego lewej stronie i na żebrowym po jego prawej stronie figuruje herb Odrowąż. Czwarte wiązanie ma tylko dwa żebra, gdyż już kończy się presbiterjum, i tu widnieją herb Topór na lewo i herb Półkozic na prawo, w środku zaś prześliczny herb zbiorowy przedstawiający: Półkozic, Gryf, Topór i Trąby. Po lewej stronie żebra spoczywają na ścianach kościoła rozety, zdaje się późniejszej roboty, gdyż są niezastosowane do gotyku. Po prawej zaś żebra spoczywają na podstawach ozdobionych herbami i tak: pierwsze żebra od ołtarza mają u podstawy herb Strzemię, drugie herb Gryf, trzecie herb Odrowąż, czwarte herb Jastrzębiec a w samym rogu na końcu presbiterjum herb Trąby. Otóż te herby stąd tu są umieszczone: *Ciołek, to herb wójtów jasielskich i fundatorów kościoła Cielątków. Odrowąż, to herb właścicieli wójtostwa jasielskiego, Odrowążów, Skrużłowy. Jastrzębiec, to herb Pakoszków, właścicieli sołtysostwa w Bryłach a później właścicieli Walowic. Gryf, to herb Turskiego, właściciela Niegłowic. Półkozic, to herb Wawrzyńca Krosza, właściciela Ulaszowic. Jelita był herbem również drugiej linii Odrowążów. Sreniawa, to herb albo Stadnickich ze Żmigrodu, albo Anny Pukarzewskiej, żony Prokopa Pieniążka, właściciela wójtostwa w Jaśle. Pilawa to herb zapewne Kamienieckich, właścicieli niedalekiego Odrzykonia. Odyniec to herb Litwinki, nieznanego nazwiska, która wyszła za Sreniawitę.

W presbiterjum jest pięć gotyckich okien, wtem trzy w połowie sześcioboku zamykającego presbiterjum są oszklone witrażami. Na pierwszym witrażu po lewej stronie kościoła jest u góry wyobrażony chrzest P. Jezusa w Jordanie, u dołu zdjęcie P. Jezusa z krzyża. Środkowe okno zasłonięte wielkim ołtarzem ma witraż złożony z okrągłych białych szkielek z odcieniem lekko zielonym, u dołu zaś ma datę R. P. 1909. Prawy witraż u góry ma wyobrażenie zwiastowania Najświętszej Marii Panny, u dołu pokłon Trzech Króli. Dwa następne okna w ścianie południowej są zaszklone zwykłymi szybami i czekają na hojnych dobrodziejów, którzyby je oszklili witrażami. W presbiterjum w $\frac{1}{3}$ ściany po lewej stronie jest wejście do zakrystji. Na końcu pres-

*)Wyjątek z dzieła ks. Sarny.

biterjum a początkiem nawy po lewej stronie jest ambona. Naprzeciw po prawej stronie jest starożytna marmurowa bardzo piękna chrzcielnica, a obok maleńkie drzwi prowadzące na strych nad którymi jest wyrzeźbione gotyckimi literami „Maria“. Jest to godło kościoła, bo kościół parafialny jasielki jest pod wezwaniem N. P. Marji Wniebowziętej. Po obu stronach ścian presbiterjum stoją bezwartościowe i bezstylowe stalle.

C. d. n.

Antoni Lewek, Vb.

Twierdza.

Jak głoszą legendy i podania, które łączą się również z założeniem Frysztaka, to obecna wieś Twierdza była niegdyś fortecą obronną na przejściu z północy na południe pomiędzy wysokimi wzgórzami (n. p. Chełm 532), które spiętrzyły się w okolicach Frysztaka i między którymi biegnie ważna droga niemal nad brzegami rzeki Wisłok w kierunku na Krosno-Dukłę.

Twierdza znajduje się o 15 km w kierunku półn.-wsch. od Jasła. Graniczy od wschodu z Kobylem, od południa z Widaczem, od zachodu z Glinikiem dolnym, od północy z Fryszlakiem.

Pan Piętniewicz utrzymuje, że Twierdza w znaczeniu fortecy została założona po drugim napadzie Tatarów, celem bronięcia ludności Frysztaka i okolicy od napadów nieprzyjaciół. Później Twierdza dostała się w posiadanie Mikołaja z Dąbrowicy Firleja, wojewody lubelskiego, a po nim odziedziczyli Twierdzą synowie jego. Od Firlejów nabyli Twierdzą małżonkowie Wojciech i Barbara Wojakowscy za 7000 złp. W przeszłym wieku posiadał ją w r. 1845 Konstanty Kiernicki, który ją odsprzedał 1882 r. żydom. Później nabyli te dobra Walerja z Wasilewskich Jędrzejewiczowa, Stanisław Wasilewski i Aleksandra Ludwika z Wasilewskich Wiktorowa, którzy je rozparcelowali.

Materiał ze wspomnianej Twierdzy — jak opowiada p. Piętniewicz — jej ówczesny właściciel darował ówczesnemu właścicielowi Wiśniowej pod tym warunkiem, ażeby zabrał je w jednym dniu. Jakoteż zjechało się tak wiele fur, że nie można było koni napoić i dla braku wody wiele koni zginęło, ale jednakże materiał został zwieziony i wystawiono z niego obszerny pałac w gminie Wiśniowej.

O twierdzy frysztańskiej wspomina Szczęsny Morawski w dziele „Sądeczyzna“ wyliczając wzdłuż dolin naszych rzek, a to wzdłuż doliny Wisłoka stare grody i zamki.

Twierdza dzieli się na wieś właściwą z nizinami i polami uprawnymi, na Łysą górę i Targowicę.

Wieś właściwa z Łysą górą jest przeważnie rolnicza, natomiast Targowica jest przemysłowa i handlowa, ponieważ tu skupiają się przeważnie sklepy i drobnicy kupcy, tu też znajdują się dwa tartaki, fabryka betonów i dachówek, tu skupiają się warsztaty stolarskie i szewskie.

Ludność tutejsza przechowuje stroje krakowskie, które przybiera prze-
ważnie w święta państwowe.

Domy mieszkalne są starsze i całkiem nowe.

Stare domy są pokryte słomą, natomiast nowe dachówką lub blachą.
Dom mieszkalny stary dzieli się na dwie części: po jednej stronie znajduje
się kuchnia, po drugiej zaś stajnia i komora, kuchnia ma zwykle dwa okna,
natomiast w stajni i komorze znajduje się tylko jedno małe okienko.

Inaczej podzielony jest dom mieszkalny nowy: Zwykle ma on dwa po-
koje, kuchnię, komorę. Stajnia znajduje się na uboczu, każdy pokój i kuchnia
ma po dwa okna, zaś w komorze i w stajni jest tylko jedno. Na oknach
stoją doniczki z kwiatami. — W Twierdzy znajduje się stacja kolejowa Frysztak.

W Twierdzy znajduje się również szkoła powszechna 4 kl., której kie-
rownikiem jest p. Językówna, dalej znajduje się Dom Ludowy, gdzie ma po-
mieszczenie Urząd gminny i koncentrują się wszystkie stowarzyszenia a to:
Ochotnicza Straż Pożarna, Koło Młodzieży Ludowej, Okręgowe Towarzystwo,
Rolnicze, Towarzystwo Domu Ludowego.

Do powstania Domu Ludowego przyczyniła się w dużej mierze „Polonia“
amerykańska, wspomagająca finansowo Towarzystwo Domu Ludowego.

W Twierdzy są jeszcze ruiny browaru, ponieważ bardzo dawno wy-
rabiano tu piwo, oraz szczątki cegielni. Natomiast na górze p. Banasia wi-
dnieją do dziś stopy kamieni i cegieł poukładane z byłej fortecy obronnej.

Są też w Twierdzy dwie kapliczki przydrożne wybudowane w roku
1882 r. i trzy krzyże przydrożne.

Tadeusz Opaliński, kl. IIa.

Sprawozdanie z wycieczek.

W Tatry.

15 września wyjechała z Jasła nasza nieliczna, bo tylko 11 uczestników
licząca grupa do Zakopanego. W ciągu długich ośmiu godzin podróży mie-
liśmy sposobność przyglądać się zniszczeniu, wyrządzonemu przez powódź.
Do Zakopanego przyjechaliśmy wieczorem. Było nam trochę zimno, więc szybko
przemaszerowaliśmy ulicą Kościuszki i Krupówkami do Domu Tow. Krajo-
znawczego. Przyjęto nas tu bardzo gościnnie, tem bardziej, że niektórzy ko-
ledzy zdradzali chęć hurtownego zakupu pamiątek dla siebie i upominków
dla „swoich bliskich“. Jednak z powodów czysto materialnych chęci ich po-
zostały chęciami. Wreszcie zmęczenie przemogło i wkrótce wszyscy pograżyli
się w sennych marzeniach.

Na drugi dzień rano pożegnaliśmy Zakopane, dążąc wytrwale ku Hali
Gąsienicowej. Tutaj zakwaterowaliśmy się w starem schronisku i po sutym
posiłku, już bez plecaków udaliśmy się ścieżką obok Zielonego Stawu, przez

Świnicką przełęcz na Świnicę. Po drodze mieli sposobność niektórzy z uczestników, będący pierwszy raz w górach, zapoznać się z mgłą górską. Prześladowała nas ona w ciągu całego prawie dnia, zasłaniając cudowne widoki. Na szczycie Świnicy (2306 m) spotkaliśmy grupę turystów. Po dłuższym odpoczynku, który zeszedł nam na przekonywaniu naszego opiekuna i organizatora wycieczki p. Prof. Dr. Krajewskiego, że się nie boimy klamer i łańcuchów i śmiało możemy wracać przez Zawrat, udaliśmy się w drogę powrotną. Aż po Zawrat prowadziła ona Orlą Percią. Zejście po klamrach i łańcuchach Zawratu dostarczyło nam wielu wrażeń, tembardziej, że jak wspomniałem, wielu uczestników wycieczki było w górach poraz pierwszy. Jeszcze chwilę odpoczywaliśmy nad Zmarzłym Stawem i powróciliśmy do schroniska.

Po kolacji rozdzieliła się wycieczka na dwie grupy. Część poszła do Granitowego schroniska pisać kartki do znajomych, reszta wolała iść spać. W tej ostatniej grupie nastąpił znowu podział, bo część ulokowała się w wynajętym pokoiku, a część zakopała się w kocach na strychu.

Trzeci dzień wycieczki był dla nas bardzo „pracowity“. Przez zbocza Żółtej Turni, zasypanej rumowiskami głazów, dolinę Pańszczycę i żlebem po ruchomych piargach dostaliśmy się na przełęcz Krzyżne. Widok z Krzyżnego jest jednym z najwspanialszych i najrozszerzających w Tatrach. W dole pod nami leżała Dolina Pięciu Stawów Polskich, zamknięta od południa grzbietami Opalonego, Miedzianego i Liptowskich Murów. Za nimi wznosiły się wyszczerbione turnie Młynarza, Żabich Szczytów, Gałucha, Wysokiej, Rysów. A trochę bardziej ku zachodowi sterczała długim, ciemnym murem grań Hrubego, zakończona stożkiem Krywania. Wszystko to chwilami tonęło w słońcu, to znowu zaciemniało się chmurami.

Syć widoków i wypoczęci zeszlśmy krętą ścieżką nad brzegiem ogromnego żlebu na skraj Buczynowej dolinki, potem trawersując pokrytymi kosówkami zboczami Koziego Wierchu schodzimy do schroniska. Raczymy się zapasami, wydobytemi z plecaków, zapijając wodą. Dwóch członków wycieczki delectuje się kwaśnem mlekiem. Potem zbiegamy obejrzeć Siklawę i stąd rozpoczęły się samotne wypady w bok od trasy naszej wycieczki amatorów kwaśnego mleka.

Wolno posuwaliśmy się przez Świstówkę i Ubocz Opalonego w kierunku Morskiego Oka. Przybyliśmy tam wieczorem, więc zaraz po kolacji udaliśmy się na spoczynek.

Zimna woda Morskiego Oka spędziła resztki snu i rzeźcy udaliśmy się do Czarnego Stawu. Nasz poprzedni plan zrobienia Rysów nie dał się wykonać z powodu „defektu“ aż dwóch kolegów.

Trzeba było wracać do Zakopanego. Jeszcze kilku kolegów pośpiesznie wykapało się w Morskiem Oku i cała grupa ruszyła szosą.

Przy wodospadach Mickiewicza nastąpił mały odpoczynek. Dobiliśmy wreszcie do Zakopanego, gdzie mieliśmy spędzić ostatnią noc. Noc ta zeszła tak szybko, że nawet nie wszyscy zdążyli przez sen opowiedzieć o swych wysokogórskich wrażeniach.

Ostatni dzień pobytu zajęła nam wycieczka do doliny Kościeliskiej. Miało tu miejsce wesołe zajście. Jeden z kolegów, amator jarzyn, wyrwał sobie kilka marchewek, rosnących na polu obok drogi. Pech chciał, że zobaczył to góral. Zaczęła się komiczna ucieczka tego kolegi, za którym biegł góral, wołając: „Oddaj jarzynę“! Winowajca wpadł w las i zobaczyliśmy go dopiero w Zakopanem.

O 11 w nocy uniósł nas pociąg z powrotem ku Jasłu, gdzie znaleźliśmy się nazajutrz o 10 rano.

Uczestnik.

Do puszczy św. Jana z Dukli.

(Sprawozdanie z wycieczki kl. Va.
20 i 21 września b. r.)

„Czwarta godzina rano. Nad moim łóżkiem stoją wszyscy „familiares“ i tarmoszą mnie „wstawaj, leniu“. Cóż to wszystko znaczy?! Nic strasznego. Va jedzie na wycieczkę do Dukli. Więc prędko ubrałem się, plecak na ramię i na stację. Wszyscy uczestnicy już się zgromadzili. Wobec tego skarbnik kupił bilety i dalej już do ruszającego pociągu. W wagonie istny chór Dana, to znaczy, odchodziła „Barbara“, „Zimny drań“ i — szkoda dalej wyliczać. Krosno! Wysiadać!

Wysypaliśmy się prędko z wagonu i rozpoczęliśmy pochód. Do Dukli „tylko“ trzy mile, a więc ładny kawałek. Od samego „startu“ prowadzenie objęła większa część klasy, chcąc być jak najprędzej u celu. Proszę jednak nie myśleć, że ta grupa, co szła na końcu z panem prof. opiekunem klasy, a w której i ja byłem, miała na celu jak my to mówimy „podlizywanie się“ Wcale nie! Poprostu nie chcieliśmy się męczyć.

Po czterech godzinach marszu dotarliśmy „śmiertelnie“ znużeni do Dukli. Tu razem z tymi, co nas wyprzedzili, założyliśmy „obóz“ i urządziliśmy 3 albo 4 śniadanie, przyczem powstawały rozśmieszające sceny, bo niektórzy koledzy mieli wspólnie wypchane plecaki. Miejsce biwaku, który się odbywał pod klasztorem OO Franciszkanów, wstyd mi mówić, ale zaśłaliśmy na metr papierami.

Teraz rozpoczęliśmy ostatni etap marszu, do puszczy św. Jana, która od miasta jest oddalona o 5 km. Po drodze rozgrywały się „tragiczne“ niemal sceny. Na kilometr przed metą Julcio „Hindenburg“ usiadł na środku drogi i wyrzekł te pamiętne słowa: „Wody!... Mdleję“!... I koledzy, nie widząc innej rady, musieli go nieść. Inną grupę wiodł „Pomidor“ z mapą, kompasem i laską, co Tatry widziała. Lecz co mu to wszystko pomogło, błędził razem z innymi po lesie, aż poprostu rozwścieczeni koledzy, ująwszy go za uszy, poszli na chybił trafił do puszczy. Pan Prof. zaś ze swoją asystą błędził również z pół godziny, a to dzięki zdolnościom Funia — przewodnika.

Po krótkim odpoczynku w schronisku udaliśmy się na górę Cergową. Przeszedłszy przez Jasiołkę wpław, po długiej wspinaczce znaleźliśmy się na szczycie. Przedtem jeszcze „Zdrajca“ obierając wydartego gdzieś karpia zaciął się głęboko nożem. (Kradzione nie tuczy). Do zatamowania krwi pożyczylem mu chusteczki, której nawiasem mówiąc dotąd mi nie oddał. Lecz mniejsza z tem. Z góry Cergowej mieliśmy piękny widok na okolicę. Widać było Duklę, jak na dłoni, Krosno również, a nawet zarysowała się wieża pałacu w Gorajowicach, naturalnie przez dobrą lornetę. Wracając pożywiliśmy się u jakiegoś stosunkowo gościnnego gospodarza. Trzeba bowiem nadmienić, że ludność tutejsza jest mało gościnna. Właściciel sześciu krów zapytany, czy ma mleko na sprzedaż, odpowiada lakonicznie „Nema“.

W czasie naszej nieobecności kilku kolegów pozostałych w schronisku nudząc się, zrobiło rewizję plecaków, ładując wszystkie lepsze rzeczy do żołądków.

Po powrocie do puszczy trzeba było się wypaść, bo już nadeszła noc. Spaliśmy w dwóch domach. Jedną izbę zajmowało 6 wygodnisiów, którzy pierwsi na miejsce przybyli a mianowicie: Lesio „K. z J.“, Kaligula, Rysio, Lopuniu, Stefcio Kapucyn i ktoś szósty. W sąsiedniej izbie nocowało 18, na strychu 10, a w naszej najmniejszej rezydencji 9. Mnie któryś z dowcipnisiów, a może wygodnisiów zabrał koc. Nie myśląc być tak uprzejmym, poszedłem do drugiego domku po latarkę i... o błogosławionys człeku, coś mi koc zabrał!... podsłuchiłem że Kaligula, Rysio i Lesio „K. z J.“ planują na nas zasadzkę. Przy pomocy latarki odnalazłem koc, poczem ułożyliśmy plan obrony.

Rzeczywiście za jakiś czas przybyli spodziewani i „bajcując“ głowy, że nam mają coś powiedzieć, nakłaniali nas do wpuszczenia. Lecz gdy to nie skutkowało, wrzucili nam kota do izdebki, z którego złapaniem i wypuszczeniem mieliśmy niemały kłopot. Koło godziny 11 usłyszeliśmy na strychu zagadkowe szmery i czyjeś kroki. Nagle w otworze w powale, do którego była przystawiona drabina, zabłysło światło i zadyndały czyjeś nogi. Wówczas wyciągnąłem drabinę, a nogi podyndawszy jeszcze chwilę znikły. Cóż się potem okazało? Oto Kaligula i koledzy namówili kucharza z puszczy, aby wlaź przez dach i otworzył drzwi. Lecz i to się nie udało. Prześladowcy nasi nie skończyli jednak na tem. Zdjęli bowiem okna, lecz i to im nie pomogło do wdarcia się wewnątrz, bo okna były opatrzone kratą. W bezsilnej złości oblali nas wodą i odeszli. Położenie więc nasze było nieszczególne. Noc była chłodna, okna zdjęte, a mieliśmy lekkie koce, a w dodatku byliśmy oblani wodą. Tak mniej więcej przeszła noc u nas.

A teraz przenieśmy się myślą do owych 6 wygodnisiów. Nastrój tam był naogół wesoły. Jeden tylko Lopuniu był cały czas zgryziony myślą, kto za niego nakręci zegar i dla rozweselenia cały czas gryzł słomę. W nocy spał w środku na dwóch zesuniętych ławach. Złośliwi koledzy idąc na wyprawę do nas rozsunęli ławy, a Lopuniu śpiący znalazł się momentalnie na podłodze pod ławami, które zpowrotem zesunięto. Biedak musiał wyłazić po ciemku, i nie ręczę, czy sobie gdzie głowy nie rozbił.

Po tej, tak „mile“ spędzonej nocy, pierwszym głosem, który usłyszeliśmy, było coś w rodzaju niewyraźnego chrapania. Słuchamy lepiej i... o Boże! toż to przecież głos Julcia „Hindenburga“, skarżący się na los. W ślad za nim ozwały się skrzeczące głosy (bo wszyscy zachrypliśmy) ze wszystkich kątów, naturalnie złorzeczące tym pomysłowym sprawcom nieszczęścia. Szybko się ubraliśmy i doprowadziliśmy naszą rezydencję do porządku. Teraz trzeba było się pożywić i znowu rozczarowanie: plecaki do połowy wypróżnione. Mleko, które dnia poprzedniego nabyliśmy, było nawpół skwaszone. Lecz trudno: „jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma“, więc tem się zadowoliliśmy. Po tym odpoczynku sfotografowawszy się i zwiedziwszy piękny kościół i klasztor wyruszyliśmy do Krosna, trasa zaś wiodła przez Miejsce Piastowe.

Znowu w skwarny dzień maszerowaliśmy, pocąc się obficie i przymierając głodem, podczas gdy kilku kolegów na zasadzie „głupi ma szczęście“ zjadło w jakiejś chałupie śniadanie tak obfite za 10 groszy, że normalnie trzebaby „wybulić ze złociaka“. Jakiś zaś gazda za ukłonienie mu się odwoził ich do samego Krosna. Tej jedynie okoliczności zawdzięcza Julcio „Hindenburg“ szczęśliwe ukończenie drogi.

My zaś przybywszy do Miejsca Piastowego, rozłożyliśmy „obóz“ nad Jasiołką obok mostu. Był to właśnie piątek, a wszystkich nas zaopatrzone w kiełbasę. Następnie udaliśmy się na zwiedzanie zakładu wychowawczego ks. Markiewicza. Widzieliśmy tam drukarnię, ślusarnię, stolarnię, introligatarnię i t. d.

Znowu zaczęliśmy ostatni etap marszu wynoszącego 7 km. Przybywszy na stację zajęliśmy wszystkie ławki. Znużenie jednak wnet przeminęło, a mając jeszcze 4 godziny czasu rozpoczęliśmy lumpowanie po mieście i stacji, tracąc ostatki pieniędzy. O ósmej przyjechaliśmy do Jasła i w towarzystwie zniecierpliwionych i zatrwożonych tatusiów i „mamusiów“ udaliśmy się do tak dawno nie widzianych domów.

Stanisław Ochatek, Va.

Z powodu braku miejsca nadesłane sprawozdanie wycieczki obu klas drugich do Krakowa, ukaże się w następnym numerze.



ROZPOWSZECHNIAJCIE „MŁODEGO GEOGRAFA”!